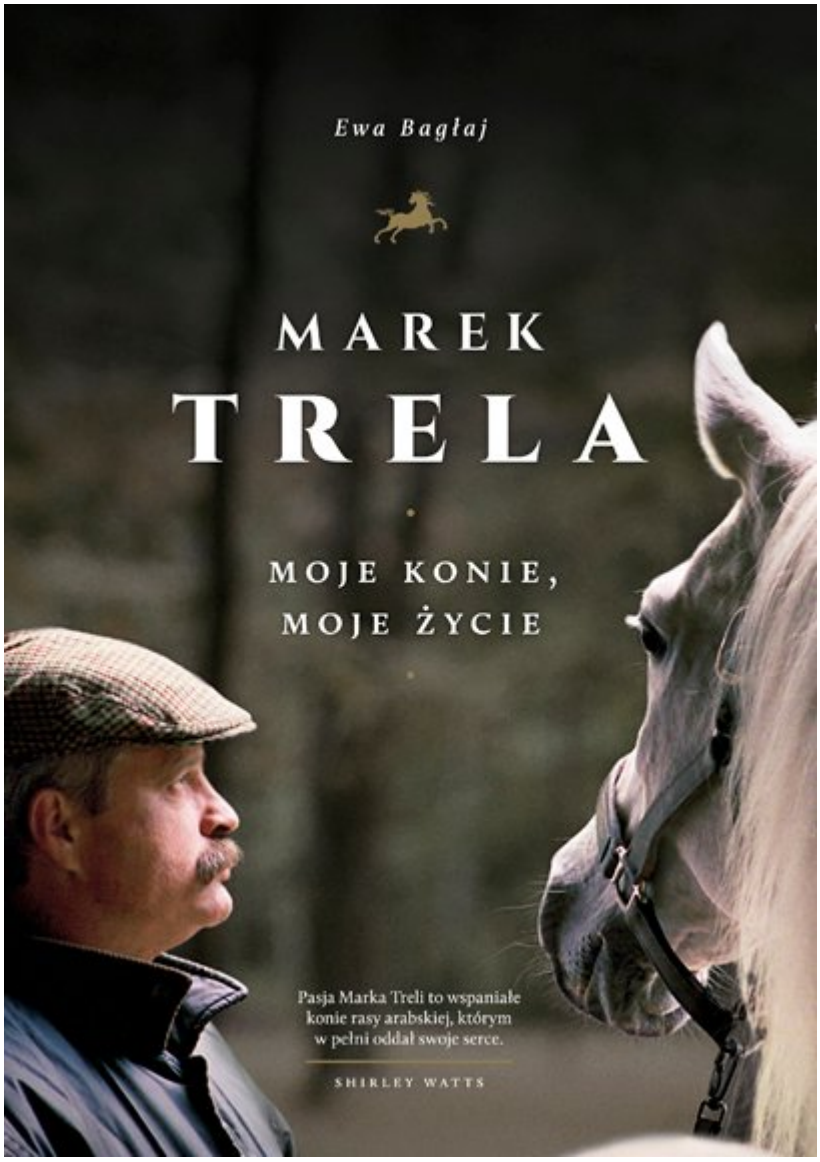
# Konie – pasja i miłość

**Rozmowa z Ewą Bagłaj, autorką książki „Marek Trela. Moje konie. Moje życie”  o polskiej tradycji w hodowli koni czystej krwi arabskiej, najstarszej polskiej stadninie w Janowie Podlaskim i jej wieloletnim dyrektorze, Marku Treli oraz o miłości do koni i pasjach pisarskich samej autorki.**




**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** W grudniu wyszła pani książka „Marek Trela. Moje konie, moje życie” (wyd. Instytut Wydawniczy Erica). Jest to piękna opowieść o koniach, ich rodowodach i pasji bohatera. Inne pani książki („Broszka”, „Dublerka”, „Prymuska”), też są związane z końmi i tematyką jeździecką. Skąd u Pani te zainteresowania?

**Ewa Bagłaj:** Urodziłam się z tą pasją. W dodatku tak się szczęśliwie dla mnie złożyło, że dorastałam w pobliżu Janowa Podlaskiego z jego słynną stadniną. Mogłam więc oglądać organizowany tam co roku narodowy pokaz koni czystej krwi arabskiej oraz aukcję Pride of Poland. Tymi wydarzeniami żył cały region. Do dziś mam zbiór wycinków z miejscowej prasy, która zawsze poświęcała dużo uwagi janowskiej stadninie i nazywała ją perłą południowego Podlasia.

**JSG:** Konie w polskiej kulturze i historii mają swoje znaczące miejsce. Jest w nich dużo romantyzmu. Kojarzą się z polską husarią, kawalerią, a także ze sportem, w których odnosiliśmy sukcesy. Są obiektem wielu znakomitych obrazów malarskich. Czy w Janowie Podlaskim są potomkowie koni ze stadniny Dzieduszyckich, które znalazły się na obrazach Juliusza Kossaka?

**EB:** Tak, i jest to jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy w polskiej hodowli. Patrząc na dzisiejsze araby, obcujemy z żywym pomnikiem historii naszego kraju. Konie, które hrabia Juliusz Dzieduszycki sprowadził z pustyni w pierwszej połowie XIX wieku, czyli między innymi sportretowane przez Juliusza Kossaka siwe klacze o imionach Gazella, Mlecha i Sahara, założyły cenne rodziny, które przetrwały aż do tej pory. Polacy kontynuują ich hodowlę od prawie dwóch wieków w czystości rasy i przy zachowaniu ciągłości dokumentacji, czyli rodowodów. To ewenement na skalę światową. Udało nam się tego dokonać mimo licznych powstań narodowych, utraty niepodległości państwa na sto dwadzieścia trzy lata oraz dwóch wojen światowych! Kilka razy traciliśmy stado niemal doszczętnie i za każdym razem nasi wybitni hodowcy potrafili je odbudować. Z każdej zawieruchy dziejowej ludzie świadomi wartości i znaczenia tych koni starali się ocalić chociaż część zwierząt. Ratowali je z narażeniem życia. A następnie odtwarzano stado, rozwijając je nie tylko pod względem liczebności, ale też osiągając coraz lepsze rezultaty w zakresie cech użytkowych

oraz urody kolejnych pokoleń. Od czasu ostatniej wojny osiągnęliśmy taki postęp, że inne kraje, także arabskie, zgodnie przyznały nam miano najlepszych hodowców koni tej rasy na świecie.

**JSG:** Jakie jeszcze są rodowody koni ze stadniny w Janowie?

**EB:** Końskie rodziny, czyli linie żeńskie i rody męskie, wywodzą się od klaczy i ogierów sprowadzanych z Półwyspu Arabskiego nie tylko przez Dzieduszyckich, ale również przez innych magnatów. W okresie poprzedzającym rozbiór Rzeczypospolitej majętne arystokratyczne rody zakładały pierwsze na naszych ziemiach stadniny tej rasy. Pod zaborami araby hodowano nie tylko dla przyjemności, prestiżu czy rozrywki, ale też z pewną misją. Dzięki swoim znakomitym cechom użytkowym mogły one poprawiać wygląd, szybkość i wytrzymałość wierzchowców dla kawalerii, która miała nas wyzwolić. Ze względu na tak pożądane zalety, rasa ta zawsze należała do najcenniejszych. Za jednego konia czystej krwi nasi przodkowie potrafili zapłacić równowartość kilku majątków ziemskich w złocie! A mimo to Beduini, ze względów religijnych i militarnych, jedynie w wyjątkowych sytuacjach godzili się odsprzedawać „niewiernym" swoje rumaki, na których dokonywali podbojów.

W Polsce tabuny koni szlachetnych lokowano głównie na Kresach Wschodnich, gdzie miały najlepsze pastwiska. Okres prosperity

tych prywatnych stadnin przypada paradoksalnie na czas zaborów. Prócz Dzieduszyckich araby hodowali z największym powodzeniem Sanguszkowie, Braniccy, a potem również Potoccy w Antoninach. Wielu cennych przedstawicieli tej rasy przywiózł ze swoich wypraw na pustynię w epoce romantyzmu Wacław „Emir" Rzewuski, jeden z naszych najsłynniejszych podróżników, ekscentryczny szlachcic i zamiłowany jeździec, uwieczniony jako „Farys" w poemacie Adama Mickiewicza.

Rewolucja bolszewicka przyniosła kres magnackim stadninom, ale część uratowanych z pożogi koni trafiła ostatecznie do pierwszego państwowego stada na ziemiach polskich, jakie założono w Janowie Podlaskim, za pozwoleniem cara Aleksandra, już w 1817 roku. Hodowano tam najpierw typowe konie kawaleryjskie, głównie półkrwi angloarabskiej, natomiast araby czystej krwi pojawiły się dopiero w okresie międzywojennym. Dzięki talentowi hodowlanemu kierownika Stanisława Pohoskiego już po kilkunastu latach janowskie klacze i ogiery eksportowano za granicę. Zdobywały uznanie w Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych, ale zniweczył to wszystko wybuch drugiej wojny światowej. Dopiero legendarny dyrektor Andrzej Krzyształowicz, przyuczony do zawodu przez Pohoskiego, dokonał cudu i wieloletnią pracą wyniósł janowską hodowlę na światowy szczyt.

**JSG:** Jakie słynne konie czystej krwi arabskiej wyhodowano w

stadninie? Proszę opowiedzieć o Pianissimie?

**EB:** Pianissima to daleka potomkini klaczy Sahara ze stadniny Dzieduszyckich, wnuczka ogiera Eukaliptus, który pozuje do zdjęcia z Markiem Trelą na okładce książki. Ta polska klacz została okrzyknięta nowym ideałem konia arabskiego, swoistym „wzorcem metra", do którego porównuje się inne araby wyhodowane na świecie. Pianissimę wyhodował następca dyrektora Krzyształowicza, wyznaczony przez niego samego i przygotowany do objęcia tej funkcji Marek Trela. Zasłynęła jako charyzmatyczna klacz pokazowa, która w swojej karierze wygrywała wszystkie czempionaty, w jakich brała udział na kilku kontynentach, i zdobyła rekordową liczbę nagród. Została pierwszą w dziejach laureatką Platynowego Pucharu Świata w Paryżu, nagrody wymyślonej dla koni „najlepszych z najlepszych", które mają już na swoim koncie tytuł czempiona świata.



Marek Trela (z prawej) i Andrzej Krzyształowicz, fot. Stuart Vesty, 142 s. książki.

**JSG:** Opisuje Pani dramatyczną historię wojenną stadniny i postać niemieckiego płk. Fellgiebela, dzięki któremu uwolniono z więzienia w Lublinie masztalerzy skazanych na śmierć i który był zaproszony do Polski po wojnie. Jak Pani trafiła na te informacje?

**EB:** Opowiadał mi o tym pan Trela, referując to, co usłyszał bezpośrednio od dyrektora Andrzeja Krzyształowicza, którego to zaangażowano jako opiekuna i przewodnika Fellgiebla podczas jego pamiętnej wizyty w Polsce w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Marek Trela powoływał się też na wspomnienia starych masztalerzy, których zastał jeszcze w Janowie, kiedy przyszedł tam do pracy w 1978 roku. Ludzie ci pracowali w stadninie w czasie okupacji hitlerowskiej lub też wywodzili się z okolicy, więc byli świadkami, a nieraz nawet uczestnikami opisanych w książce wydarzeń. Część wiedzy o tamtym okresie historycznym zaczerpnęłam też z książek, m.in. „Konie rubinowe" Ireneusza J. Kamińskiego. A także publikowanych w kwartalniku „Araby" wspomnień dyrektora Krzyształowicza.

**JSG:** Z Pani książki dowiedziałam się o wielu  aukcjach koni na świecie, m.in. o aukcji Polish Ovation Sale w Arizonie w 1985 r. Czy duże jest zainteresowanie Polonii aukcjami koni z Polski?

**EB:** Wśród uczestników aukcji Pride of Poland zdarzają się osoby będące w pierwszym czy drugim pokoleniu imigrantami z Polski, lecz nie pokusiłabym się o ocenę, jak duże jest to zainteresowanie. Najwięcej kupców w ostatnich latach wywodziło się z krajów arabskich. Bywa, że w imieniu właściciela zagranicznej stadniny licytuje jego przedstawiciel, którym jest zatrudniony tam Polak. Jesteśmy znani z dobrego podejścia do koni, dużej wiedzy i doświadczenia w ich hodowli, dlatego wielu

fachowców polskiego pochodzenia można spotkać w takich miejscach. Na przykład w stadninie państwa Shirley i Charliego Wattsów, Halsdon Arabians w Wielkiej Brytanii, przy kilkuset arabach, z których duża część urodziła się w Janowie Podlaskim, pracuje wyłącznie polska obsługa.

**JSG:** To już druga pani biografia, po „Słonecznej dziewczynie. Opowieści o Klementynie Sołonowicz-Olbrychskiej" – matce Daniela Olbrychskiego. Co fascynuje Panią w biografiach?

**EB:** Biografia daje możliwość przyjrzenia się z bliska wyjątkowemu człowiekowi. I nie chodzi mi tylko o konkretne zasługi dla społeczeństwa, które często stają się powodem do napisania o kimś książki. Ale przede wszystkim o jego indywidualność, czyli osobowość i drogę życiową, wybory i ich konsekwencje, relacje z ludźmi. Lubię proces poznawania drugiej osoby w sposób uważny i nieśpieszny, na jaki pozwala ten typ pisania – w przeciwieństwie do nieraz z konieczności powierzchownych kontaktów, do jakich zmusza tempo przygotowywania krótkich wywiadów dziennikarskich. Fascynuje mnie też możliwość przekazania efektów takiego spotkania innym ludziom, czytelnikom. Staram się dzielić zdobytą wiedzą o konkretnej dziedzinie, z którą związany jest bohater opowieści, ale też wynikającą z jego życiorysu refleksją o ludzkim losie. Czyli tym wszystkim, co może stać się odpowiedzią na nurtujące kogoś pytanie dotyczące jego własnego życia albo zainspirować

do rozwoju. Podobnie jak mnie samą inspiruje czytanie i pisanie o ludziach z pasją, bez względu na to, czym się zajmują. Nigdy nie wiadomo, co wyniknie ze spotkania bohatera książki z czytelnikiem, w czym autor tylko pośredniczy. To jest magia biografii, która ma dla mnie nieodparty urok.

**JSG:** Przedstawia pani życie i wielką pasję pana Marka Treli, z zawodu weterynarza, wieloletniego dyrektora stadniny w Janowie Podlaskim (2000-2016). O jego rodzinie, zesłaniu na Syberię babci z mamą, braciach babci kawalerzystach oraz o powojennych losach bohatera i miłości do koni, ciekawie pisze Pani w książce. Proszę powiedzieć, co najbardziej ujęło Panią w bohaterze, że zdecydowała się Pani napisać o nim książkę?

**EB:** Pomysł  przyszedł mi do głowy po którymś z wielkich sukcesów klaczy Pianissimy, która już za życia stawała się legendą. Chciałam przeczytać biografię jej hodowcy, ale takiej książki nie było. Jednak nie czułam się dość pewnie, aby zaproponować, że to ja ją napiszę. Katalizatorem, który wyzwolił potrzebną determinację, stało się nagłe i niezrozumiałe usunięcie Marka Treli z pracy. Odnosił w niej spektakularne sukcesy. Przez wiele lat dostarczał nam, Polakom, wzruszeń, kiedy dla janowskich koni odgrywano „Mazurek Dąbrowskiego” na pokazach w różnych zakątkach świata, nawet w ojczyźnie tej rasy. Wkrótce pojawiła się też zapowiedź wykładu otwartego na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. O sukcesach polskiej

hodowli koni arabskich miał opowiadać były już prezes janowskiej stadniny, a także Anna Stojanowska i Jerzy Białobok, zwolnieni tego samego dnia z pracy. Do tej pory zarządzali państwowymi stadninami z powodzeniem, które nie ma swego odpowiednika w żadnym innym kraju. Cała trójka uchodzi za najlepszych specjalistów w tej dziedzinie na świecie. Nie mogłam być tego dnia w Krakowie, więc pomyślałam, że pracując nad książką będę mogła wysłuchać całej serii „wykładów", a wraz ze mną taką możliwość dostaną czytelnicy. Nie wiedziałam wówczas nic o rodzinie, z jakiej pochodzi pan Trela, ale chciałam przybliżyć jego postać. A także przekazać wiedzę o tym, czym jest hodowla koni arabskich i dlaczego nazywa się ją naszym dobrem narodowym.

**JSG:** Czy ma Pani pomysł na kolejną książkę?

**EB:** W tej chwili kończę pracę nad czwartym tomem przygód Broszki. Mam też kilka innych pomysłów i rozpoczętych projektów, ale za wcześnie, by o nich mówić. Co z nich wyniknie, dla mnie samej jest jeszcze zagadką.



**Ewa Bagłaj, Marek Trela. Moje konie. Moje życie, Instytut Wydawniczy Erica, 2016 r., fragmenty.**

## *WSTĘP*

(…) W tej dziedzinie konkurujemy z potęgami ekonomicznymi, takimi jak USA, Rosja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz ojczyzną tej rasy, Arabią Saudyjską. Ale to z Polski pochodzą najlepsze i najdroższe konie arabskie na świecie. Nawet liczebnie trudno porównywać naszą hodowlę z tamtymi krajami, wyglądałoby to jak walka Dawida z Goliatem. Podczas gdy w Polsce, sumując pogłowie klaczy państwowych i prywatnych, doszukamy się około tysiąca matek hodowlanych, w Stanach Zjednoczonych jest ich około dwudziestu tysięcy. A jednak wygrywamy europejskie, amerykańskie i światowe czempionaty. Przykład Pianissimy, powtórzony już przez jej pół siostrę Pingę, pokazuje, że możemy wygrywać nawet w ojczyźnie tych niezwykłych koni, w sercu pustyni Nadżd. Dlaczego to jest w ogóle możliwe?

Odpowiedź tkwi w formule państwowej hodowli. Opieka państwa z założenia gwarantuje trzy rzeczy:

Po pierwsze, ciągłość istnienia stadnin; nie upadają z powodu

braku następcy, jak to się dzieje w przypadkach prywatnych stadnin.

Po drugie, dbałość o zachowanie i rozwój najcenniejszych linii hodowlanych, traktowanych jako dobro narodowe, jest na pierwszym miejscu. Zyski, choć też ważne, są na dalszym planie. Dzięki temu wciąż jeszcze dysponujemy unikatową pulą genów, która wyróżnia polską hodowlę. Chyba tylko w państwowej hodowli mogą istnieć konie takie, jak niezapomniana Pianissima, których nie można kupić za żadne pieniądze, jako że z zasady nie są na sprzedaż.

Po trzecie, następstwo wykwalifikowanych fachowców, którzy, zanim obejmą zarządzanie hodowlą, latami uczą się niuansów tej specjalistycznej dziedziny u boku swoich poprzedników. Annę Stojanowską przygotowała do zawodu Izabella Pawelec-Zawadzka, uznawana za największy autorytet w gronie znawców historii hodowli koni arabskich w Polsce i na świecie. Wieloletni dyrektor Michałowa, Ignacy Jaworowski, był mentorem i doradcą swego następcy Jerzego Białoboka, podobnie jak legendarny dyrektor janowskiej stadniny, Andrzej Krzyształowicz, przekazywał swoją wiedzę Markowi Treli.

W ten sposób odbywało się przejmowanie pałeczki w polskiej hodowli od wielu lat. Tradycja ta nie została naruszona nawet podczas wojny. (…)

I właśnie to — polska myśl hodowlana, przekazywana z pokolenia na pokolenie — jest taka unikatowa. To jest nasz narodowy skarb.



Marek Trela (z prawej) i Jerzy Białobok, fot. arh. prywatne, 120 s. książki.

### *Stadnina podczas II wojny światowej*

Aby ratować cenne stado przed hitlerowską ofensywą z zachodu, ewakuowano je wedle rozkazu na wschód, w czym uczestniczył Andrzej Krzyształowicz, zastępca kierownika Pohoskiego. Marsz odbywał się nocami, a obsługa rekrutowała się w większości z przypadkowych osób, jako że wyszkoleni w opiece nad końmi masztalerze walczyli na froncie.

Jeden z pomocników trzymał cztery spięte razem roczne ogierki. Byli to synowie Ofira, z którymi Pohoski wiązał ogromne nadzieje hodowlane. Spłoszone przez wojskową ciężarówkę, wyrwały się opiekunom w okolicy Białej Podlaskiej. Dzięki temu się uratowały. (...)

Niemcy, którym bardzo zależało na przejęciu znanej już na Zachodzie stadniny, wkroczyli do Janowa i zastali puste, zniszczone stajnie. Zaczęli poszukiwać koni, głównie tych pogubionych w czasie ewakuacji, jak synowie Ofira. Zabierali je też pod przymusem od prywatnych hodowców. W ten sposób zagrabiono ze stadniny Anny i Jerzego Bąkowskich z Kraśnicy klacz Bałałajkę, późniejszą matkę „królowej Janowa" — legendarnej klaczy Bandoli wraz z jej matką Łysą.

Niemcy doprowadzili teren do porządku, zachowując przedwojenny schemat organizacyjny hodowli, która wtedy dzieliła się na dwie zupełnie różne instytucje: stado i stadninę. Docelowo zatrudnili jeszcze więcej fachowego polskiego

personelu, niż pracowało tu przed wojną, a kierownictwo nad sprawami hodowlanymi powierzyli również Polakom.

Andrzej Krzyształowicz pełnił funkcję koniuszego stada ogierów. Stanisław Pohoski był konsultantem przy odrestaurowywaniu janowskiej hodowli, a jego sugestie niemiecki komendant, płk. Hans Fellgiebel, traktował jak święte słowo i natychmiast wcielał w życie.

O tym, jak szybko i sprawnie okupanci zorganizowali całe przedsięwzięcie, świadczy fakt, że już w następnym roku, 1940, mogli urządzić w Janowie Podlaskim tradycyjną niemiecką *Hengstparade* — wielką paradę ogierów, prezentowanych także pod siodłem oraz we wszelkiego rodzaju zaprzęgach, której towarzyszył przegląd hodowlany. Co roku było to ważne wydarzenie, odbywające się na placu w centrum stadniny. Zjeżdżała się cała generalicja. W Białej Podlaskiej działało strategiczne lotnisko, a w samym Janowie ulokowano siedzibę wyższego dowództwa Wehrmachtu, toteż wielu oficerów regularnie brało udział również w gonitwach konnych. Bywali tutaj wszyscy ci, o których czytamy teraz w książkach historycznych. W tym grupa osób zaangażowanych w przygotowywanie zamachu na Hitlera, dokonanego 20 lipca 1944 roku w Wilczym Szańcu koło Rastenburga (obecnego Kętrzyna). Jednym z głównych spiskowców był generał Erich Fellgiebel, rodzony brat komendanta stadniny. Tu właśnie omawiano plany.

*— Zamachowcy spotykali się na tak zwanych polowaniach, o czym opowiadali mi jeszcze starzy masztalerze* — wspomina Marek Trela. *—W samym środku lasu gromadzili się wyżsi generałowie i oficerowie, a las był otoczony Wehrmachtem. Tak wyglądało to „polowanie", żeby oni mogli sobie spokojnie porozmawiać. Większość z tych ludzi zginęła po nieudanym zamachu.*

Ale zanim tak się stało, płk. Fellgiebel korzystał ze swoich koneksji rodzinnych, wyciągając z hitlerowskiego więzienia na zamku w Lublinie pięciu masztalerzy, skazanych przez gestapo na śmierć po wpadce podziemnej organizacji Armii Krajowej.

*— To niesamowite, jakie Janów miał szczęście do ludzi, nawet pod okupacją. Fellgiebel bardzo dbał o to, żeby koniom i obsłudze niczego nie brakowało. Okazał się postacią na tyle pozytywną, że był oficjalnym gościem Ministerstwa Rolnictwa w 1956 roku! Przecież to brzmi nieprawdopodobnie. Pułkownik Wehrmachtu, komendant okupowanej stadniny odwiedza świeżo po wojnie Polskę na zaproszenie władzy ludowej. Jeszcze w dodatku podejmowany z honorami. (…)*

Wielokrotnie w opowieściach dyrektora przewijał się temat exodusu janowskiej hodowli, wywiezionej przez hitlerowców z końcem wojny do Niemiec. Do opieki nad stadem zabrano wtedy polską załogę, którą po śmierci Stanisława Pohoskiego kierował

Andrzej Krzyształowicz. Towarzyszyła mu żona oraz dwuletnia córka Jadwiga, starsza siostra mającej się dopiero urodzić Barbary.

Konie, ulokowane w Saksonii, musiały wkrótce, przed zbliżającym się frontem, znowu ewakuować się marszem pieszym. Nieszczęściem, przechodząc przez ulice Drezna podczas pierwszego nalotu dywanowego aliantów, trafiły w środek bombardowania. Dwa z nich, Witraża i Wielkiego Szlema, uratował masztalerz Jan Ziniewicz, któremu powierzono je na czas przemarszu. Nie porzucił koni, szukając dla siebie schronienia, lecz siedział na jednym, a drugiego trzymał przy boku.

Mimo wielkiej siły oszalałych ze strachu zwierząt — jedno miało już ogon osmolony od bomby, tak blisko wybuchały — Ziniewicz nie pozwolił im się wyrwać. Wolał z nimi zginąć, niż dopuścić do utracenia przez Polskę dwóch bezcennych ogierów.

— *Trudno sobie wyobrazić współczesną hodowlę bez tych dwóch reproduktorów* — ocenia Marek Trela. — *Ich krew płynie w każdym koniu arabskim, jaki jest w tej chwili wyhodowany w naszym kraju.*



Marek Trela i klacz Alejka, fot. arch. prywatne M. Treli, 149 s. książki.

### *Pierwsze kroki w roli hodowcy*

Dyrektor Krzyształowicz okazał się utalentowanym nauczycielem.

Wybrany przez niego słuchacz zapamiętywał wiele z tych wykładów, specjalnie się o to nie starając, bo przecież nigdy nie chciał być zootechnikiem i nie planował dla siebie takiej przyszłości. Teraz jednak zaczynał patrzeć na budowę i sposób poruszania się koni już nie tylko okiem doświadczonego jeźdźca i praktykującego weterynarza. Nauczył się zauważać i oceniać te cechy, na które zwracają uwagę hodowcy arabów, przede wszystkim typ — jak określają to, co składa się na rasowy„bukiet". Miał do czynienia z jedną z najlepszych hodowli na świecie (której już w tamtym czasie deptała po piętach Stadnina Koni Michałów, zarządzana przez dyrektora Ignacego Jaworowskiego), więc często były to niuanse między pięknym i piękniejszym.

Słuchając planów dyrektora co do przyszłych kojarzeń, uczył się zgadywać — na podstawie sylwetki, ruchu, wyników dzielności na torze wyścigowym, rodowodu i wielu innych danych — co wyniknie z połączenia takiego ogiera z taką klaczą, a co z inną.

Prognozy te weryfikował przegląd hodowlany, który odbywał się w stadninie dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Fachowcy zbierają się wtedy, aby ocenić jakość i kondycję koni, a szczególnie urodzonych w danym roczniku źrebiąt. Można było dokładnie przyjrzeć się ogierom i klaczom, prezentowanym na tzw. płycie, nieruchomo, ale swobodnie, z wyciągniętą szyją oraz ich potomstwu. Ocenić, ile źrebiąt odziedziczyło najlepsze cechy

swoich rodziców, podnosząc rozwój rasyna wyższy poziom, a ile nie.

W wyniku tych obserwacji po przeglądach zapadały najważniejsze dla stadniny decyzje. Podejmował je dyrektor Krzyształowicz. Czy debiutujący w roli ojca młody ogier zapowiada się na czołowego reproduktora, czy korzystniej będzie wycofać go z hodowli jak najszybciej?

Zastąpić innym, może nie tak oczywistym pod względem urody, ale jednak poprawnie zbudowanym i — jak widać na przykładzie większości urodzonych po nim źrebiąt — lepiej przekazującym cechy swoich rodziców, o wiele bardziej zbliżonych do ideału arabskiej urody niż on sam?

A może przyczyna niepowodzenia tkwi w doborze nieodpowiednich dla danego ogiera klaczy i warto dać mu jeszcze jedną szansę, zostawiającgo na następny sezon?

Niezliczone czynniki, poparte doświadczeniem, wpływały na ostateczną odpowiedź. Setki takich decyzji, dotyczących każdego ogiera i każdej klaczy z osobna, składały się co roku na plan stanówek, czyli kojarzeń koni — rzecz najważniejszą dla przyszłości hodowli. Jeżeli siedziało się w jednym miejscu wystarczająco długo, jak to określił Andrzej Krzyształowicz, można było w swoich przewidywaniach odnieść się również do

przodków i krewnych konkretnego zwierzęcia, bo ich rozwój widziało się na własne oczy.

Każde źrebię jest zagadką, po narodzinach tylko częściowo rozwiązaną, bo jeśli nawet urodzi się piękne i zdrowe, to dopiero wchodząc w życie, zaczyna zapisywać swoje losy. A wraz z nimi losy macierzystej stadniny. A nawet całej hodowli koni arabskich w Polsce i na świecie.

W rękach hodowcy — prawdziwego szefa stadniny — spoczywa odpowiedzialność za to, jak pokieruje życiem tej istoty, która na niepewnych jeszcze nóżkach niesie niepowtarzalny zestaw genów z unikatowej puli, nazywanej naszym dobrem narodowym. Czy pomnoży ten potencjał, czy zmarnuje powierzony sobie skarb?

Młody doktor z rosnącym zainteresowaniem obserwował kulisy sukcesów hodowlanych Andrzeja Krzyształowicza, który tak znakomicie„czuł sprawę" i który swoje zajęcie nazywał nie pracą, lecz służbą.— *Jeżeli chodzi o hodowlę, to zacząłem przejmować sposób patrzenia na konie od pana Krzyształowicza. To nie było w pełni to samo spojrzenie, bo ja też miałem już swoje wcześniej wyrobione gusta, jakiś ideał konia.*

*Hodowla to jest nieustająca konieczność wyboru. Wspaniale byłoby móc kierować się wyłącznie swoim poczuciem tego, co się*

*chce zostawić albo sprzedać. Przyjmijmy, że stadnina ma mieć określoną liczbę klaczy. Ich selekcja nie wygląda w ten sposób, że ta mi się nie podoba, to ją wyrzucam, a tę, która jest wysokiej jakości, zostawiam. To byłoby zbyt proste. Tutaj jest potrzebny kompromis między interesem hodowli, czyli jakością koni, a interesem stadniny, która musi się utrzymać.*

*Musi istnieć również kompromis między jakością stada matek a potencjałem genetycznym, który trzeba utrzymać, a więc trzeba zachować różne linie żeńskie i męskie. Te wszystkie rzeczy trzeba jakoś pogodzić. I zawsze któryś z tych interesów musiał ucierpieć. Najczęściej cierpiał hodowca, gdy pozbywał się swoich ulubionych koni.*



Ewa Bagłaj, fot. FAPA-PRESS.

**Ewa Bagłaj –** polska pisarka, autorka powieści dla młodzieży i biografii, dziennikarka prasowa. Uzyskała magisterium z filologii polskiej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Absolwentka podyplomowego studium dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Jako dziennikarka publikowała m.in. w „Dzienniku Wschodnim", „Słowie Podlasia", „Koniu Polskim". „Sukcesie" czy na portalu – Polskiearaby.com. W swoich książkach najchętniej porusza tematykę psychologiczno-społeczną, a także kwestie ekologii i

ochrony praw zwierząt, głównie koni. W utworach często obecne są wątki związane z końmi i jeździectwem.

Autorka książek:

- *Broszka* – powieść dla młodzieży, wyd. Świat Książki, Warszawa, 2005.
- *Dublerka* – kontynuacja przygód Broszki, wyd. Świat Książki, Warszawa 2007.
- *Słoneczna dziewczyna. Opowieść o Klementynie Sołonowicz-Olbrychskiej* – biografia, wyd. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2007.
- *Prymuska* – powieść dla młodzieży – kontynuacja przygód bohaterki książek *Broszka* i *Dublerka*, wyd. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA,  Warszawa 2013.
- Marek Trela. Moje konie. Moje życie, wyd. Instytut Wydawniczy Erica, Warszawa 2016.

---

# Dwór,

w którym zaklęta jest historia



Tułowice. Oczekiwanie na Wigilię, fot. arch. A. Novák-Zemplińskigo

**Z malarzem Andrzejem Novák-Zemplińskim, o dworze w Tułowicach, rodzinnych tradycjach i artystycznej pasji – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.**

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Jako malarz zadebiutował Pan w spektakularny sposób. Jest rok 1975 i Mistrzostwa Europy w Powożeniu Zaprzęgami Czterokonnymi w Sopocie. Przyjeżdża wielu, wywodzących się z dawnych ziemian, dyrektorów stadnin ogierów. W imprezie bierze udział tak utytułowana osoba, jak książę Filip, mąż brytyjskiej królowej Elżbiety II. Konkursowi towarzyszy wystawa obrazów czołowych polskich malarzy, ze zbiorów narodowych w Biurze Wystaw Artystycznych. Pan, wówczas jeszcze student Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, przyjeżdża na Mistrzostwa, aby malować konie i przywozi trzy swoje obrazy, które wzbudzają duże zainteresowanie. Jak z perspektywy czasu wspomina Pan swój debiut jako malarza koni?

**Andrzej Novák-Zempliński:** Wtedy już krystalizowały się moje zainteresowania tematyczne – choć byłem jeszcze pod wpływem akademii i stąd próby usprawiedliwienia się wobec współczesności. Dlatego te pierwsze prezentowane obrazy z

końmi były w bardzo syntetycznej formie  i w prawie abstrakcyjnej przestrzeni. Były to trzy ujęcia koni widzianych z kozła – czwórka gniada, kara i siwa. Rzeczywiście obrazy te wzbudziły spore zainteresowanie, jeden z nich trafił na okładkę magazynu „Koń Polski”. Wcześniej, na dorocznej wystawie w Akademii, ten właśnie obraz zdecydowanie bulwersował – konie na Akademii? – to prawie bezczelność. Byłem wprawdzie studentem profesorów Michała Byliny i Ludwika Maciąga, co by mogło takie wybory tłumaczyć, ale bez przesady, na uczelni obowiązywały zupełnie inne trendy. Zacząłem więc płynąć pod prąd.

**JSG:** Skąd u Pana zainteresowanie malarstwem tradycyjnym?

**ANZ:** Zawsze fascynowała mnie sztuka dawna i jej weryfikowalny poziom warsztatowy, finezja operowania kolorem i formą. Z racji moich końskich pasji, szczególnie interesowała mnie sztuka związana z tematyką hippologiczną, batalistyką i łowiectwem, reprezentowana przez naprawdę wielkich twórców, ale też przez tych mniejszych, również z kręgu prymitywistów, mieszczących się w nurcie określanym w Europie zachodniej jako *sporting art*. Ten nurt żyje nadal nie bardzo przejmując się tym, co się dzieje w galeriach sztuki nowoczesnej Nowego Jorku, Paryża czy Londynu –  ma swoje galerie, wystawy i wierny krąg odbiorców.



Andrzej Novák-Zempliński. Autoportret, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Jaka grupa odbiorców jest zainteresowana malarstwem w dawnym stylu?

**ANZ:** Odbiorcami są przede wszystkim miłośnicy koni, hodowcy, sportsmeni, ale również zwolennicy tradycyjnych form sztuki, dla których nie pozostają one zamkniętymi rozdziałami i zasługują na kontynuację. Wśród moich odbiorców dominowali oczywiście hodowcy i właściciele koni, często bardzo wybitni i powszechnie

znani, głównie z USA. Dlatego najwięcej moich obrazów pozostaje w Ameryce.

**JSG:** Jak zapatrują się krytycy na bycie wiernym dawnym technikom i tematom?

**ANZ:** Krytyka raczej tym się dziś nie zajmuje. Jest częścią dość skomplikowanego, współczesnego rynku sztuki i jej zadaniem jest ocena nowych trendów z oczywistymi „intelektualnymi przewagami". Raczej boczy się na takie zjawiska, jak powroty do tradycyjnych form warsztatowych, uważając, że za tym stoją komercyjne motywacje. Tak też uważa wielu moich kolegów ze studiów, którzy poświęcili się sztuce „prawdziwej". Ja, na szczęście, nie muszę tłumaczyć, o co chodzi w moich obrazach i wsparcie krytyki nie jest do istnienia mojej sztuki niezbędne. Staram się być wierny sobie i raz wytyczonej drodze, która stanowi dość spójną całość z życiem rodzinnym, pasjami i aktywnością społeczną.




Andrzej Novák-Zempliński w bibliotece w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Proszę opowiedzieć o Pana rodzinnych tradycjach ziemiańskich i podkrakowskich dworach.

**ANZ:** Mimo, że urodziłem się po wojnie, miałem jako dziecko szczęście poznać autentyczne życie polskiego dworu. Dwory w Glanowie i Tarnawie, w wyniku przedwojennej reformy rolnej, stały się resztówkami i stalinowski dekret je ominął, choć nie bez szykanów nowej władzy.

Domy te za życia moich stryjów żyły jak dawniej, a rytm tego życia określało funkcjonowanie gospodarstw rolnych. Pozostające od długiego czasu w rękach rodziny, wypełnione były pamiątkami wielu pokoleń i specyficznym klimatem tradycji właściwej siedzibom ziemiańskim. Tam spędzałem wakacje, najchętniej w stajni. Dziś w rękach moich braci stryjecznych pozostają już tylko domy z założeniami ogrodowymi. Dla mnie były zawsze wzorem rodzinnego gniazda.

**JSG:** Czy Pan i Pana żona Aleksandra, absolwenci warszawskiej ASP, szukali unikalnego, jak na owe czasy, miejsca do zamieszkania, czy też trafili Państwo na Tułowice przypadkiem i wtedy powstał pomysł, żeby tu stworzyć dom?

**ANZ:** Z Tułowicami nie było przypadku, ale zanim do tego doszło, był pomysł zamieszkania w rodzinnym Glanowie. Po śmierci stryja przez jakiś czas nie było pomysłu na dalszą egzystencję domu, stąd wyszła oferta z naszej strony – sytuacja jednak wkrótce zmieniła się, ale pomysł z osiedleniem się na wsi miał swoją kontynuację. Zaczęliśmy poszukiwać opuszczonego

obiektu zabytkowego do zagospodarowania w okolicach Warszawy. Takich obiektów było wiele w związku z ofertą tak zwanej Giełdy Zabytków. Nie była ona jednak w tamtym czasie adresowana do prywatnych inwestorów. W naszych poszukiwaniach trafiliśmy do Tułowic i one nas urzekły, mimo katastrofalnego stanu budynków i zaniedbanego ogrodu. Złożyliśmy ofertę kupna obiektu w miejscowej gminie – i zaczęło się. Negocjacje z „władzą ludową" trwały ponad trzy lata, gdyż w jej ocenie była to niecna próba restytucji życia dworskiego w fazie „budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".



Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski



Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski



Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Dwór w Tułowicach był wówczas w opłakanym stanie. Magazyn nawozów sztucznych i śmietnik, nie każdego zachęciłby do adaptacji niegdyś pięknego, klasycystycznego obiektu. Co Państwa najbardziej urzekło w tym miejscu?

**ANZ:** Urzekła nas przede wszystkim architektura domu, jego proporcje, rytm, harmonia, detal – doskonałe dzieło klasycyzmu w wydaniu niewielkiej wiejskiej rezydencji. Wszak przypisywane jest Hilaremu Szpilowskiemu, jednemu z czołowych architektów epoki. Otaczający dom kilkuhektarowy ogród dopełniał urodę

miejsca, choć jego zalety można było dostrzec jedynie oczyma wyobraźni. Na naszą decyzję wpłynęła też lokalizacja i dalsze otoczenie o wyjątkowych walorach historycznych i krajobrazowych – Brochów, Żelazowa Wola, Czerwińsk, dolina Bzury i Wisły oraz Puszcza Kampinoska. Obiekt nie był przesadnie wielki, wydawał się do ogarnięcia jako dom rodzinny oraz spokojne i ciche miejsce pracy.

**JSG:** Jaką wizję mieli Państwo odbudowując ten obiekt?

**ANZ:** W początkowej fazie naszych starań, wizja tego miejsca odnosiła się do prostej idei własnego domu. Natomiast następstwa kilkuletniej walki o uratowanie go od zagłady nadały tej idei znacznie szerszy wymiar – pewnego symbolu przetrwania, tak w sensie historycznym jak też kulturowym. Sytuacja jeszcze w dobie PRL-u uświadomiła nam, że chodzi o znacznie większą wartość, dlatego napotkaliśmy na taki opór władzy. Wszak był to pierwszy przypadek oferty kupna z zasobów skarbu państwa obiektu zabytkowego na cele prywatne. Mieliśmy jednak zdecydowanych sojuszników w tej walce, głównie w służbach konserwatorskich, ale też wielu przyjaciół, którzy wiernie nam kibicowali. Gdy opór władzy został w końcu przełamany i akt kupna sfinalizowany, stanęliśmy przed naprawdę poważnym zadaniem – odbudowy obiektu i tchnięcia weń nowego życia. Koncepcja projektowa dojrzewała już od kilku lat wraz z wykonaniem inwentaryzacji, badań, kwerend

archiwalnych i kontaktów personalnych dla zebrania wyjściowego materiału historycznego oraz porównawczego. Ostateczna wizja dojrzewała równolegle z pracami budowlanymi, które zajęły kilkanaście lat.

**JSG:** Teraz dwór jest pełen przedmiotów, w których zaklęta jest historia. Proszę opowiedzieć, jak powstawały zbiory.

**ANZ:** Zbiory i wyposażenie domu było realizacją pewnych programów użytkowych, estetycznych i treściowych, jakie wykrystalizowały się w trakcie projektowania i budowy. Z założenia nie była to próba reanimacji historycznego obiektu, a raczej realizacja naszych potrzeb użytkowych i estetycznych, oczywiście z wielkim poszanowaniem dla historii, stylu i pierwotnego programu. Dlatego właśnie uzyskaliśmy efekt autentyzmu, bowiem nasz dom niczego nie udaje – jest domem żyjącym, z czytelnymi funkcjami poszczególnych pomieszczeń i dostosowanymi do nich programami estetycznymi oraz przekazem treści – historycznych, patriotycznych i tradycji rodzinnej. Były to jednak nasze wybory, wynikające z potrzeb, aspiracji i możliwości. Oczywiście tradycja dawnych domów rodzinnych, tych już nie istniejących jak w Parkoszu, Pieskowej Skale czy Gotkowicach i tych żyjących, w Glanowie i Tarnawie, znajduje tu swoją kontynuację.



Andrzej Novák-Zempliński w tułowickiej Powozowni, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Stworzył Pan też kolekcję pojazdów konnych. Kilka z posiadanych przez Pana pojazdów pochodzi z rodzinnych majątków. Jak Pan na nie trafił?

**ANZ:** Moje zainteresowanie pojazdami konnymi datuje się od czasu, gdy poznałem pana Zbigniewa Prusa-Niewiadomskiego, wybitnego znawcę przedmiotu. Przez niego zainspirowany, postanowiłem zabezpieczyć pojazdy, które pozostały w Glanowie i Tarnawie, już jako sprzęt bezużyteczny i zapomniany. Te pięć pojazdów stało się zalążkiem przyszłej kolekcji. Pomysł na dalszy jej rozwój zrodził się wraz z Tułowicami i możliwością adaptacji do tego celu zrujnowanej dawnej stajni. Dziś liczy ona 24 pojazdy i jest unikatową w skali kraju, bowiem programowo gromadzi pojazdy związane z tradycją polskiego dworu.

**JSG:** Który z powozów uważa Pan za najciekawszy?

**ANZ:** Nasz zbiór stanowi podstawowy przegląd typów pojazdów konnych używanych w polskich dworach na co dzień i na specjalne okazje, czy też sportowe. Każdy cenię za jego indywidualne walory, ale najbardziej te, które w polskich zasobach są absolutnymi unikatami. Do nich należy nasz rodzinny powóz typu milord – jedyny zachowany produkt renomowanej warszawskiej firmy Jana Stopczyka, w XIX wieku jednej z największych w stolicy. Jedynym zachowanym w Polsce faetonem krajowej produkcji jest pojazd wykonany w firmie Jana Korby w Zamościu dla majątku Kamienna w Powiecie Buskim. W remoncie pozostaje jeszcze ośmioresorowa kalesza firmy John Hutton & Sons, Dublin, jednego z dostawców dworu angielskiego. To prawdziwe cymelium kolekcjonerskie. Natomiast moim osobistym pojazdem sportowym jest faeton znakomitej firmy szwajcarskiej Geissberger, Zürich z początku XX wieku, który nabyłem i wyremontowałem dla możliwości użycia go w konkursach tradycyjnego powożenia czy też tzw. *pleasure driving*.




Dyplom Europa Nostra wisi na ścianie w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Kaplica w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Dwór w Tułowicach restaurowany przez Państwa z miłością i poświęceniem przez wiele lat, doczekał się prestiżowej nagrody Europa Nostra. Proszę o tym opowiedzieć.

**ANZ:** W 1999 roku uczestniczyłem w konferencji organizacji Europa Nostra w Glasgow, gdzie zostałem przedstawiony księciu Henrykowi, małżonkowi królowej Danii – ówczesnemu Prezydentowi EN, oczywiście jako właściciel odbudowanego obiektu zabytkowego z Polski. Książę Henryk był świeżo po lekturze artykułu o Tułowicach w anglojęzycznej edycji magazynu „Dom i Wnętrze” i zasugerował, bym zgłosił obiekt do

konkursu Europa Nostra na najlepiej odrestaurowany obiekt historyczny. Obecny przy tym prof. Jacek Purchla z Krakowa (aktualnie przewodniczący sesji UNESCO) uznał, że jestem tym samym zobligowany do zgłoszenia Tułowic do konkursu, więc musiałem stosowne *dossier* przygotować i wysłać. Z pośród 120 zgłoszonych obiektów z 30 państw europejskich Jury konkursu nagrodziło medalami osiem – wśród nich dwie królewskie rezydencje, Zamek Windsor i Pałac Christiana VII w Kopenhadze, dwa obiekty z listy UNESCO i… skromny polski dwór w Tułowicach. Był to piąty medal przyznany polskim zabytkom, ale pierwszy obiektowi w rękach prywatnych.

**JSG:** Rozumiem, że obiekt wzbudza zainteresowanie. Przecież historia i tradycja wyczytana z książek, to nie to samo, co możliwość w XXI wieku przeniesienia się do innej epoki.

**ANZ:** Zainteresowanie dworem w Tułowicach jest niemałe. Mamy w naszej księdze gości wpisy z nieomal całego świata, nawet w tak egzotycznym języku, jak maoryjski. Zainteresowane są szkoły, organizacje społeczne, konserwatorzy, ogrodnicy i historycy sztuki, badacze dziejów i filmowcy.

W Tułowicach były realizowane plany filmowe i telewizyjne. Prawie żadna publikacja poświęcona dziejom polskich dworów nie pomija Tułowic.



Gabinet w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Salon w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Dwór to serce polskości, polskiej tradycji. Dla Państwa to też prawdziwy dom rodzinny. Czy trudno jest we współczesnym świecie stworzyć enklawę polskiej historii i kultury i żyć według dawnych wzorców?

**ANZ:** Nasze życie w Tułowicach nie jest bynajmniej archaiczne w formie. Korzystamy z wielu udogodnień współczesnej techniki, ale konsumpcyjny styl dzisiejszej egzystencji nie bardzo godzi się

z klimatem tradycyjnego polskiego domu. Staramy się w sposób naturalny wpisać się w tło, które własną przecież pracą stworzyliśmy.

**JSG:** Czy ten dom jak z marzeń, otoczony parkiem, zmieniający swój koloryt zgodnie z porami roku, z zapachem jesiennych grzybów, zapasami na zimę, bogatą biblioteką, fortepianem w salonie, pamiątkami rodzinnymi, starymi fotografiami, iskrzącym ogniem w kominku, z psami biegającymi wokół domostwa, jest miejscem  zjazdów rodzinnych, spotkań, rozmów, czy wokół stołu gromadzą się bliscy? Czy tak sobie Państwo wyobrażali swoje życie, podejmując tak ogromne wyzwanie?

**ANZ:** Bez życia rodzinnego ten dom, nawet w najlepszej formie, byłby tworem martwym. Ważna jest też szansa na kontynuację, którą mogą zapewnić synowie, może nawet wnuki. Wtedy dopiero nabiera sensu cały nasz wysiłek, który nigdy nie był oparty na rachunku ekonomicznym – był i jest realizacją idei o szerszym znaczeniu, niż tylko dom rodzinny. Dlatego pozostaje nadal sporym wyzwaniem dla kolejnych pokoleń. Ale póki co rodzina gromadzi się często i myślę, że ceni sobie to miejsce. Spotykamy się również w gronie przyjaciół, organizujemy koncerty, czasami wernisaże. Staramy się dzielić tym, co osiągnęliśmy.

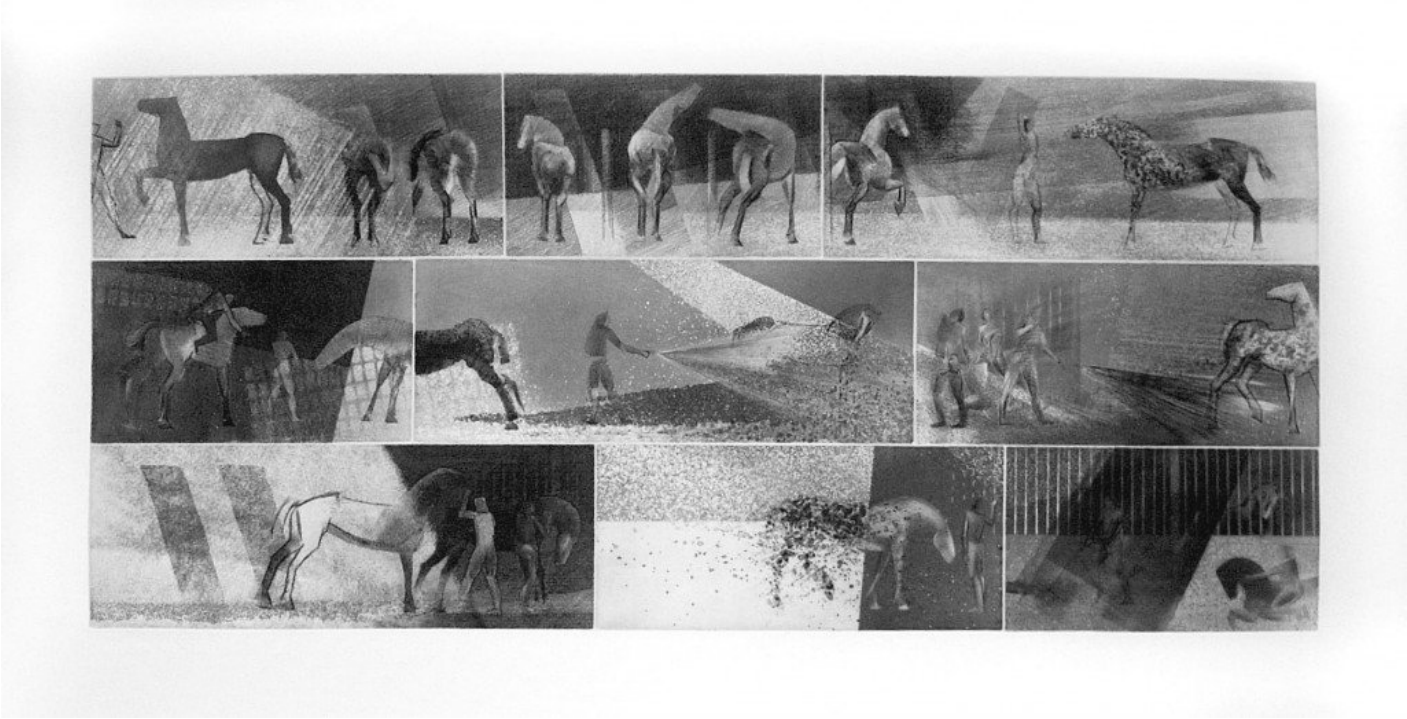
**JSG:** Jak wyglądają Święta Bożego Narodzenia w Tułowicach?

**ANZ:** Święta są jak najbardziej tradycyjne i bardzo rodzinne. Choinka do sufitu bogato ubrana, opłatek, biały obrus i pod nim sianko oraz tradycyjne, świąteczne potrawy. Oczywiście też kolędy. Przy stole wigilijnym w Tułowicach gromadzą się już cztery pokolenia.



Dwór w Tułowicach zimą, fot.arch. A. Novák-Zemplińskiego

# Między hiperrealizmem a abstrakcją



**Rozmowa z  grafikiem Pawłem Zabłockim**

**Joanna Sokołowska-Gwizdka** – Ukończyłeś Wydział Malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studiowałeś także na UofT semiotykę, literaturę, historię sztuki. Jak sądzisz, jaki

wpływ mają te szerokie studia na twoje prace graficzne?

**Paweł Zabłocki** – Przede wszystkim dzięki semiotyce dojrzałem pewne aspekty grafiki. Jest to nauka humanistyczna, która zajmuje się analizą znaczeń i stara się to robić w sposób antypsychologiczny, przy pomocy szukania analogii w strukturach. Ten matematyczny aspekt semiotyki, jak najbardziej mi odpowiadał, bo czułem, że pewien rygor tej dyscypliny mogę przenieść na moją sztukę wizualną.

**JSG** – Czyli aspekt pozbawienia emocjonalnego stosunku do danego obiektu pozwala wchodzić w zawiłe ścieżki samej techniki.

**PZ** – Tak, jak również w ścieżki subtelności psychologicznych, bo pozwala zauważać więcej analogii między rzeczami i sytuacjami, które na pozór nie mają ze sobą wiele wspólnego. Semiotyka była dla mnie odkryciem, bo z jednej strony jest to nauka humanistyczna, a z drugiej można w niej uzyskać w miarę obiektywne rezultaty. Nauka ta daje solidniejsze oparcie niż jedynie wpatrywanie się i wsłuchiwanie we własną duszę. Jest to dziedzina, która pozwala uświadomić obiektywne struktury i zwraca uwagę na sposób tworzenia. Bo przecież twórczość też podlega pewnym regułom.

**JSG** – A więc to nie zawsze jest tak, że tworzy się gdy się ma

natchnienie?

**PZ** – Natchnienie może się dobrze odnaleźć właśnie w pewnych określonych prawidłach. Nie zawsze, ale często z chwilą, kiedy ma się natchnienie i kiedy już nie trzeba myśleć o strukturze zamysłu i techniki, wtedy ma się pełną swobodę w tworzeniu i negowaniu struktur, których się używa lub używało. Lecz zawsze pierwszym etapem musi być poznanie struktury. Właśnie na tym polega analogia do warsztatu graficznego, który jest bardzo rygorystyczny, bo są w nim aspekty zegarmistrzowskich umiejętności manualnych czy znajomość chemii, wyczuwanie minimalnych różnic, które mogą zmienić wyraz. W ramach ogromnego rygoru i kilkudziesięciu prawideł trzeba znaleźć ścieżkę, w której może się zrealizować twórczość.

**JSG** – Tak jest w każdej dziedzinie artystycznej, jeżeli śpiewak nie będzie miał opanowanego warsztatu, to nigdy nie wyśpiewa czegoś więcej niż kolejne nuty, nie będzie w jego śpiewie ducha.

**PZ** – Mniej więcej tak, ale w sztukach wizualnych, a szczególnie w grafice warszatowej jest o wiele bardziej bezpośrednie sprzężenie, pomiędzy warsztatem a wyrazem. Mówiąc dobitnie, technologia równa się twórczość. W końcu technologia wzięła się z greckiego słowa “techne”, które w starożytności było używane zarówno do określenia umiejętności manualnych jak i sztuki. Albo, kto nie ma technologii nie jest w stanie powiedzieć

o uczuciach. W grafice warsztatowej, zwłaszcza obecnie, kiedy wchodzi w grę fotografia cyfrowa, narzędzie wcale nie musi się zacierać. Wręcz przeciwnie, nowoczesne techniki pozwalają jeszcze dobitniej zwrócić uwagę na to, że narzędzie samo w sobie buduje narrację, jest zatem pewnym przekazem. Dlatego ja w tym co robię, staram się balansować na granicy między całkowitym ujawnieniem technicznego aspektu, a zatarciem go, wchodzeniem prawie w hiperrealizm.

**JSG** – Czy uważasz, że efekt tak daleko posuniętej ingerencji narzędzia, jakim jest np. komputer, przy pomocy którego możesz właściwie wszystko zaanimować, jest sztuką czy nie?

**PZ** – Mogę powiedzieć, że jest. Jeżeli przyjmiemy, że twórczość zaczyna się w momencie myślenia, to oczywiście nie ma znaczenia przy pomocy jakiego narzędzia uzyska się ostateczny wynik. Podobna rzecz dotyczyła grafiki warsztatowej. Na początku, jeszcze w XV wieku, służyła tylko do zreprodukowania obrazów, a potem w XVI wieku  była tanią formą, sztuką dla każdego. I tylko dzięki temu, że pojawiło się kilku mistrzów, zaczęto ją kolekcjonować i uzmysławiać sobie jej autonomiczny charakter.

**JSG** – Wobec tego, jeśli nowoczesna technologia i inne narzędzia mogą doprowadzić do podobnego  efektu wizualnego, czy trzeba się tak męczyć, pracować ręcznie, brudzić chemikaliami, zamiast

doskonalić narzędzie i podobnie jak mistrzowie dawnych epok podnieść grafikę komputerową do rangi sztuki.

**PZ** – Grafika komputerowa pewnych rzeczy nie może dać. Tworząc płyty  wiem, że mają one ograniczoną możliwość zreprodukowania.  Ja właściwie tworzę oryginał. Jest takie paradoksalne określenie  grafiki – wielokrotny oryginał. W grafice warsztatowej tworzę coś, co jest materialne i coś z czego bezpośrednio będzie odbijany obraz. Dobra grafika cyfrowa może mieć 1 tys., 2 tys., może 4 tys. kropek na cal. Rozdzielczość mojej grafiki jest na poziomie molekularnym. Moja szara skala nie jest 8, 16 czy 32 bity, tylko jest nieograniczona.  Grafika komputerowa tego jeszcze nie osiągnęła. Drukarki mogą mieć prędkość 1 tys. odbitek na minutę. Ja odbijam 4-5 na godzinę. Ale wydruk komputerowy powinien mieć datę ważności. W przypadku akwaforty na dobrym papierze daty ważności nie ma. Ja w każdej grafice mogę zadecydować jaka będzie świetlistość powierzchni i za każdym razem uzyskać pewien minimalny wariant.  Może w przyszłości drukarki będą mogły osiągnąć ten sam efekt, ale inspiracja będzie czerpana z tych zasobów, które proponuje grafika warsztatowa.

**JSG** – Na każde „odkrycie” w sztuce musi przyjść właściwy czas.

**PZ** – Tak. Np. pierwsze fotografie w XIX wieku są tak doskonałe, że jest to wręcz niewiarygodne, bo przecież o wiele łatwiej było

zrobić poruszoną fotografię, fotografię ze złą ostrością, złą perspektywą, czy źle skomponowaną lub obejmującą tylko fragmenty obiektów.  Minęło ok. 100 lat, zanim takie elementy stały się środkiem wyrazu.

**JSG** – Czy nie uważasz, że może się tak zdarzyć, że fotografia cyfrowa, czy też sztuka manipulowana przy pomocy komputera może wyprzeć grafikę warsztatową lub inne tradycyjne techniki?

**PZ** –  Grafika warsztatowa wobec fotografii cyfrowej, jest według mnie tym, czym jest żaglówka dla motorówki. Można powiedzieć, że motorówka jest bardziej praktyczna, szybsza itd, ale to wcale nie znaczy, że żaglówki muszą być wyparte. Na pewno komercyjnie nie mają żadnej szansy, ale w sferze przeżyć można doznać zupełnie innych emocji. A poza tym, akurat w ostatnich czasach, żaglówki się bardzo rozwinęły. Wcale nie jest tak, że nagle wchodzi jedna technika i wypiera drugą. Ci, którzy promują  nowszą technologię, zawsze są skłonni myśleć,  że to ona wyprze lub zmarginalizuje poprzednią poprzez zaoferowanie większej „wygody", a w rzeczywistości powstaje następna gałąź. Co więcej, jedna dziedzina z drugą jest w stanie prowadzić dialog.

**JSG** – Czy dla Ciebie bezpośredni, materialny kontakt z tworzywem ma szczególne znaczenie?

**PZ** – Największą zaletą grafiki warsztatowej jest właśnie jej materialność, ręczne wciskanie i wycieranie farby, praca nad matrycą przy pomocy różnych narzędzi. Ja walczę z materiałem, jest to dla mnie pewnego rodzaju żywioł. W grafice komputerowej w każdym momencie można się wycofać. W grafice warsztatowej, za każdym razem gdy robi się krok do przodu, jest coraz mniej możliwości, by się cofnąć bez konsekwencji. To jest po prostu życie. Grafika komputerowa w znacznym stopniu jest bliższa myśleniu, efekt końcowy może być praktycznie bardzo bliski naszej wizji.. Ale ograniczenie grafiki warsztatowej, gdyż trzeba się dogadywać albo walczyć z materiałem, jest jej głównym atutem.

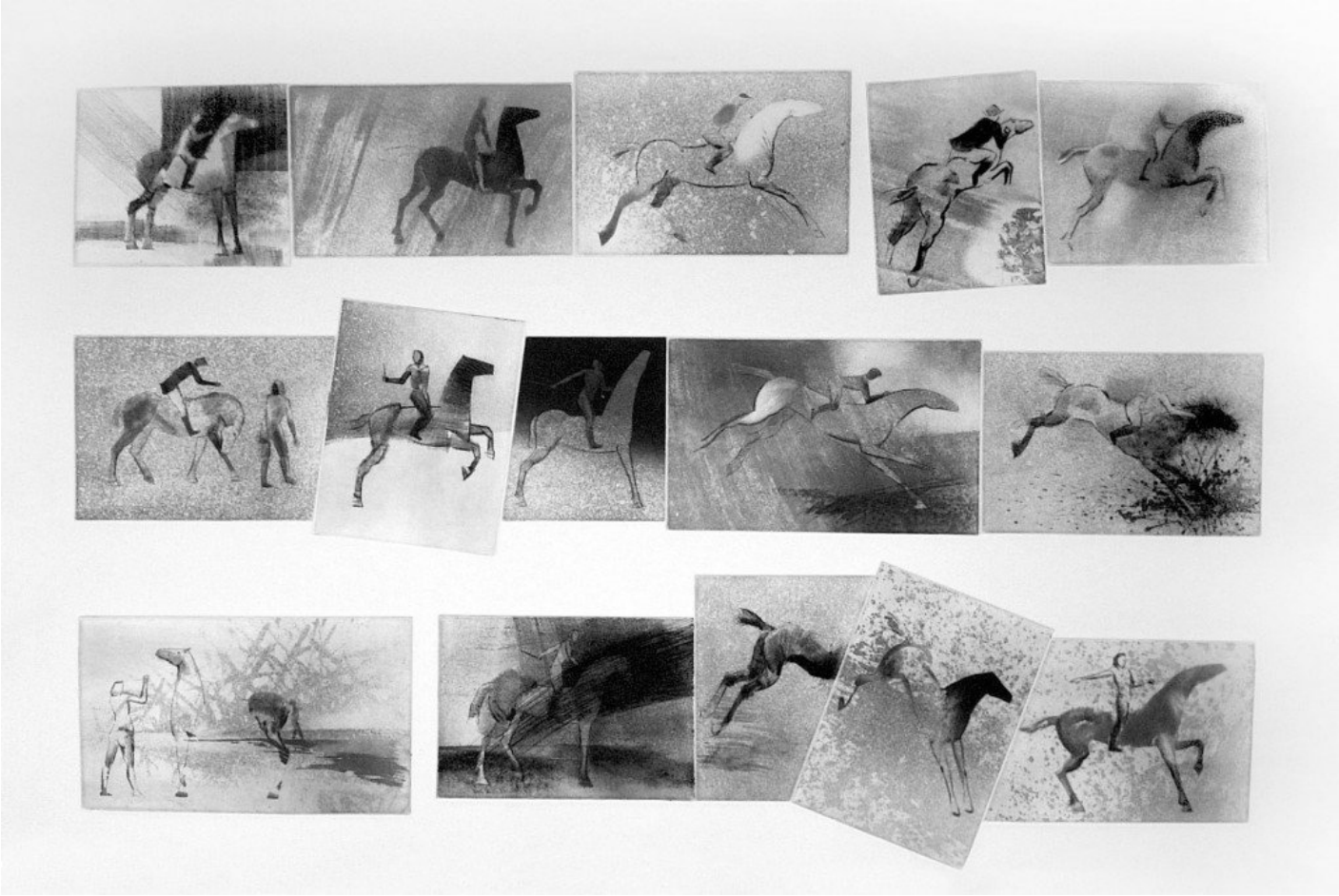
**JSG** – W takim razie, czym jest dla Ciebie temat, w twoim przypadku – konie?

**PZ** – Koń jako temat moich prac jest tylko pretekstem do przekazania informacji o narzędziu i o metodach technicznych, które już same w sobie mają wartość narracji, czyli opowiadania o relacjach pomiędzy tym co było, a co może się zdarzyć. Dlatego fragmentarycznie zostawiam miejsca jakby nie wykończone. Staram się narzędzia używać w sposób perfekcyjny, ale zostawiam też fragmenty, w których narzędzie nie jest mi posłuszne To są celowe zabiegi, bo pokazują etapy mojej pracy. Czasami dzieje się tak w rzeczywistości, czasami się bawię, podobnie jak można się bawić mową. Wybrałem takie prace na

wystawę, na których z jednej strony widać konia i jego anatomię, a z drugiej pokazują, że można  trudnym narzędziem balansować między hiperrealizmem a abstrakcją i pokazać w jaki sposób narzędzie jest w stanie przeistoczyć swoje ślady w przedmiot rozpoznawalny lub zatrzymać w miejscu, gdzie jest ono widoczne w formie prostej, podstawowej.

**JSG** – Czyli zawsze strona techniczna dominuje nad tematem, który jest tylko pretekstem w Twoich pracach graficznych.

**PZ** – Tak, bo jak powiedziałem środek przekazu jest w stanie stworzyć narrację, Z chwilą kiedy  zakończyłem pracę nad grafiką, ona znaczy tyle, co widz o niej myśli. Ja nie mam żadnych pretensji do interpretacji, bo zdaję sobie sprawę, ze język, także wizualny, jest bardziej złożony niż jednostkowa zdolność posługiwania się nim. Moje prace mogą być postrzegane na wielu poziomach i zainspirować różnych odbiorców. Zarówno takiego, któremu podoba się koń, takiego, który lubi ciekawe kompozycje, jak i takiego, który zainteresuje się w jaki sposób zabawa kilkunastoma dziwnymi narzędziami potrafiła doprowadzić do tego co balansuje pomiędzy hiperrealizmem a abstrakcją i konsekwencjami, jakie to ma dla dalszych refleksji.



*Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2003 r.*